Nr. 8. Lwów dnia 1. Sierpnia 1871. Rok I.

GAZETA LITERACKA

Wychodzi 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

PRZEDPŁATĘ i OGŁOSZENIA przyjmuje biuro Administracji „GAZETY LITERACKIEJ“ pod Nr. 1¾ we Lwowie.

Przedpłata wynosi: Z przesyłką pocztową w Państwie Austrjackiem: rocznie **3** złr. **60** cent., półrocznie **1** złr. **80** cent., kwartalnie **90** cent. Z przesyłką pocztową za granicę: rocznie **4** złr., półrocznie **2** złr., kwartalnie **1** złr.

OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą **6** ct. od wiersza drobnym drukiem, oprócz opłaty stemplowej **30** ct. za każdorazowe umieszczenie.
Całoroczni abonenci otrzymają bezpłatnie ilustrowany kalendarz na r. 1872.

Ze świata myśli

przez

Władysława Sabowskiego.

I.

Zakres wiedzy ludzkiej.

(Dokończenie).

Między rzeczami niepojętemi przez człowieka dziś jeszcze są więc i takie, które pojęte będą kiedyś, do których zrozumienia wiedza z czasem dojść musi; zachodzi jednak pytanie czy są i takie, do których zrozumienia wiedza nigdy nie dojdzie, czyli, które leżą po za zakresem wiedzy ludzkiej?...

Pytanie to jest bardzo trudne do rozwiązania, jednak da się rozwiązać napewno i to tak na drodze teoretycznej, to jest rozumowaniem, jak na drodze praktycznej to jest przez sprawdzenie w historji wiedzy wyników teoretycznego rozumowania.

Weźmy cośkolwiek w naturze pod uwagę, naprzykład muchę, która nam przy czytaniu tych uwag brzęczy za uchem.

Cóż to jest mucha?. Entomolog odpowie nam natychmiast, że to jest owad należący do tej a tej klasy owadów, a więc różniący się od innych takiemi lub owemi właściwościami budowy, opisze jego zwyczaje, sposób życia, sposób mnożenia się i t. d. W tem wszystkiem jedno będzie tylko dla nas niezrozumiałem jeszcze jedno, czego ów entomolog nie określił.

Cóż to jest owad?.. Tu wystąpi z odpowiedzią zoolog i powie nam że robak jest zwierzęciem, i znów będzie opisywał nam różnicę owadów od innych zwierząt, od robaków, które są tak drobne jak one i od ptaków które tak jak one latają, opisze nam wspólne własności wszystkich tych drobnych stworzeń, własności które są powodem, że nie są one czem innem jak owadami.

I znowu w tym wykładzie wszystko rozumieć będziemy, i tylko jedno jedyne zadać nam wypadnie pytanie: co to jest zwierzę?

Uczony naturalista i tu nam nie odmówi objaśnienia. Powie on że zwierzęta są jednym wielkim działem istot żyjących na tej ziemi, mających pewne wspólne własności, które je odróżniają od innych również żyjących istot, od roślin.

Tu będziemy musieli znowu zagadnąć: a cóż to jest istota żyjąca?

Na to pytanie otrzymamy odpowiedź, że świat zamieszkały przez nas składa się z dwóch gatunków ciał, z ciał organicznych i nieorganicznych, że pierwsze z nich są istotami żyjącemi, drugie ciałami nieżyjącemi, i że jedne i drugie mają pewne cechy, które je odróżniają od siebie.

Czyż zasób naszych pytań będzie już tem objaśnieniem wyczerpany?.. Bynajmniej.

Zapytać musimy, co to jest ta kula ziemska, z której istoty żyjące wyszły; a gdy nam powiedzą, że to jest jedna z planet krążących około słońca, jedna z cząstek systematu słonecznego, zapytamy co to jest systemat słoneczny i słońce. Objaśnieni, że słońce jest jedną z gwiazd, zechcemy wiedzieć co są gwiazdy, a dowiedziawszy się, że gwiazdy są ciałami niebieskiemi zaludniającemi przestrzeń, zapytamy co to jest przestrzeń.

Tutaj nauka odmówi nam już objaśnienia i odmówić musi koniecznie. Wiedziony pytaniami naszemi uczony objaśniał nam pojęcia szczegółowe przez coraz ogólniejsze, pojęcia ściśle określone przez coraz obszerniejsze, aż nareszcie doszedł do pojęcia, które obejmuje wszystko co jest w naturze. Rozum

nasz pojmuje, że i to pojęcie, choć obejmuje wszystko co jest, musi być poddziałem jakiegoś obszerniejszego pojęcia, ale wiedza nie mając do porównania niczego współrzędnego z przestrzenią, ażeby zbadać, jakie pomiędzy przestrzenią a tem czemś zachodzą podobieństwa i różnice, nie może dać objaśnień i z pokorą wyznać musi, że nie pójdzie dalej.

Pytaniami naszemi przyparliśmy uczonego do jednej ze ścian jego wiedzy, po za którą wyjść on już nie mógł. Być może, że gdybyśmy go zapytywali inaczej, przyparlibyśmy go do innej ściany, a że właśnie idzie nam o odkrycie tych ścian, tych granic wiedzy, więc wracajmy do naszej muchy, niech ona nam przewodniczy w inną stronę.

Z czego się składa ta mucha?... Zagadnięty entomolog odpowie nam z zadowoleniem, że budowa tego drobnego owadu jest o niewiele mniej skomplikowaną od budowy tak wielkiej jak n. p. człowiek. Weźmie mikroskop i anatomizując muchę, będzie nam pokazywał różne jej cząstki, skrzydełka, główkę, nóżki, oczy, organa pokarmowe i inne.

Nam jednakże nie oto idzie, my bierzemy pierwszy lepszy z tych rozmaitych organów, których mamy w musze taką obfitość, i z których cały jej organizm się składa, bierzemy którąkolwiek nóżkę naprzykład i zapytujemy z czego się składa ta nóżka.

Entomolog odpowie, że i w tej nóżce tak jak w nodze człowieka znajduje się coś nakształt muskułów i nerwów, że te muskuły dadzą się także zanatomizować.

Z czegoż się składają? — zagadniemy.

Z tkanek takich a takich, odpowie objaśniacz rozwodząc się dość szeroko o naturze tych tkanek i ich przeznaczeniu.

Nie tu jednakże kres naszej ciekawości.

A tkanki z czego się składają?.. Z komórek. A komórki z czego?.. Z cząstek których organicznego składu dotąd nie zdołała nauka podzielić na organiczne części, lecz podzieliła na chemiczne.

I gdy nam uczony wyliczy chemiczne cząstki komórek, i powie: „oto takie a takie pierwiastki wchodzą w ich budowę“, myśląc, że tem ostatecznie zaspokoił naszą ciekawość, my zagadniemy: co to są pierwiastki chemiczne?

Są to ciała, które się tylko mechanicznie dzielić dadzą, to jest nie na czynniki odmiennej natury, lecz na części składowe tej samej natury.

Dadzą się dzielić, więc je dzielmy!

I drobniutki pyłek pierwiastku chemicznego znalezionego w owej nóżce muchy rozkrajmy najdelikatniejszym narzędziem na dwie połowy, i jedną z tych na dwie jeszcze, i jedną z tamtych jeszcze na dwie i jedną z otrzymanych ostatecznie na dwie znowu.

Mamy już szesnastą cząstkę pierwotnego pyłku, jeżeli mamy doskonałe do krajania narzędzie możemy ją rozkroić jeszcze na dwie i jedną z tych dwóch znów na dwie, a gdybyśmy mieli jeszcze doskonalsze możeby się te ostatnie sześćdziesiąte czwarte cząsteczki pierwotnego pyłku dały dzielić dalej na sto dwudzieste ósme i dwieście pięćdziesiąte szóste.

Widzimy więc, że podzielność mechaniczna ciał zdaje się zależeć tylko od doskonałości użytych do dzielenia narzędzi, gdyby narzędzie było nieskończenie doskonałe, moglibyśmy czynność taką powtarzać bez końca, a gdybyśmy na dwieście pięćdziesiątej szóstej cząstek pierwotnego pyłku wykonali takie rozpoławianie coraz mniejszych cząstek sto razy jeszcze tylko, otrzymalibyśmy cząsteczki tak drobniutkie, że ich na złożenie pierwotnego pyłku pierwiastku chemicznego znalezionego w musze potrzeba byłoby mniej więcej 324,520,000,000.000 razy miliard miliardów, to jest liczby tak wielkiej, że na jej napisanie potrzeba by było aż trzydziestu trzech cyfr.

Zapytajmy jednakże naszego Mentora czy rzeczywiście ciała dadzą się dzielić bez końca, a raczej czyby się dały dzielić, gdyby były do tego odpowiednie środki.

Uczony nam odpowie, że zdaje się, iż tak jest, i że istnieją daleko doskonalsze środki sprawdzenia ich niezmiernej podzielności niż ten jakiśmy wymyślili. Weźmy mały kawałek piżma, zważmy go najstaranniej i umieśćmy w obszernym pokoju, którego powietrze kilka albo kilkanaście razy na dzień się zmienia. Piżmo ma własność wydzielania z siebie lotnych cząsteczek, które za zbliżeniem się do nosa naszego czynią na naszych nerwach wrażenie bardzo silnej woni. Otóż za każdem odmienieniem się powietrza w owej sali napełni się ono takiemi cząsteczkami, i w którymkolwiek punkcie tej sali staniemy, uczujemy wszędzie woń piżma, po kilku zaś tygodniach takiego postępowania zważywszy ów kawałek, który tyle woni wydał z siebie, i o tyle lotnych cząsteczek stał się lżejszym, na najdelikatniejszej wadze nie dostrzeżemy ubytku, co znaczy, iż piżma przez cały ten czas tyle tylko ubyło, ile mu wagi przybyć mogło przez pokrycie drobniuchną warstwą kurzu albo przez nasiąknięcie maleńką ilością wilgoci. Cząsteczki lotne wydzielające się z piżma są tedy może jeszcze mniejsze od owej cząstki którą po 100 krotnem rozpoławianiu ledwie dostrzegalnego pyłka pierwiastku chemicznego znajdującego się w musze, moglibyśmy byli otrzymać, od owej cząstki tak drobnej że na wyrażenie jej stosunku do całości potrzebowalibyśmy liczby z trzydziestu trzech cyfr złożonej.

Mimo to, powie jednak dalej uczony, nauka nie może się na żaden sposób obejść bez przypuszczenia, że podzielność mechaniczna ciał ma swoje granice w ich naturze, i dla tego przyjmujemy hypotezę, to jest przypuszczenie, że ciała składają się z atomów.

Słuchaliśmy cierpliwie ciekawego wywodu naszego uczonego i nie przerywaliśmy mu wcale, dopóki nie zawadził o ten nowy wyraz — atom.

Cóż to jest atom?

Jest to cząsteczka materji, składająca się z cząstek nie dających się odłączyć od siebie na żaden sposób.

Z czegoż się składają te cząsteczki?...

Nie mogąc ich odłączyć jednych od drugich, ani rozebrać na części, nauka nie może ani ich porównać z drugiemi, ani rozróżnić ich cząstek składowych, musi więc wyznać z pokorą, że cała materja ostatecznie składa się z cząstek, o których wewnętrznym składzie ostatecznie nie mamy i mieć nie możemy pojęcia.

Otoż nasz uczony przyparty do drugiej ściany swej wiedzy, do drugiej strony w której znajduje się pewna granica, pewień słup z napisem: nie pójdziesz dalej. Mimo to rozum nasz pojmuje, że największa jaki najdrobniejsza cząstka materji dzielić się może i musi, jeżeli nie organicznie, to chemicznie, jeżeli nie chemicznie to mechanicznie, jeżeli nie mechanicznie to idealnie, za pomocą linii i płaszczyzn poprowadzonych myślą lub w myśli dokonanej analizy, na nieskończone mnóstwo cząstek drobniejszych. Rozum więc pojmuje nieskończoność rozkładu, wiedza jednakże tak daleko pójść nie może.

Mając już dwustronne granice wiedzy ludzkiej, musimy znowu wrócić do muchy, ażeby się przekonać, czy takich granic nie ma jeszcze więcej. Pytaliśmy się dotąd o istotę muchy, zapytajmy się teraz naszego naturalisty: zkąd się ta mucha wzięła?

Z jajka zniesionego przez inną muchę, a tamta mucha, znowu z jajka zniesionego przez inną i tak dalej.

Czy tak bez końca?...

Nie doszła jeszcze nauka tak daleko, ażeby nam uczony mógł odpowiedzieć ze stanowczością na to pytanie. Mniej więcej jednak nam odpowie, że wszelkie życie organiczne na ziemi wyszło z pewnego pierwotnego objawu, nazwanego komórką organiczną, że z tej komórki ukształciło się pierwsze nasienie, z nasienia pierwsza roślina, z roślin mniej skomplikowanych organicznie, więcej skomplikowane, dalej zwierzęta, a w końcu w postępowym rozwoju czy jeden z drugich czy inaczej, bo nic tu jeszcze nie dowiedzione ostatecznie, w końcu wszystko co żyje na tej ziemi, i ten człowiek który w tej chwili bada muchę, i ta mucha którą on bada.

Dobrze!.. ale i to nam nie wystarcza. Zkądże się wzięła owa pierwsza początkowa komórka?

Powstała z cząstek materji ułożonych odpowiednio i poddanych właściwemu wpływowi sił działających w naturze, jak elektryczność, cieplik i t. d.

A zkądże się wzięła materja i wszystkie te siły?

Istniały, jak się zdaje odkąd czas i przestrzeń istniała.

Kiedyż poczęły istnie czas i przestrzeń?. zkąd się wzięły?.. co było przedtem?..

Nasz fizyk znów przyparty do ściany przyznać się musi do niewiadomości. Prowadziliśmy go pytaniami coraz dalej w głąb czasu, w nieskończoność która poprzedziła chwilę puszczenia się w tę wycieczkę, i wiedza jego wyznać musiała, że nigdy w postępie swoim nie może dojść do czasu, nad którymby rozum wcześniejszego nie pojmował.

Oto granica wiedzy z trzeciej strony. Z dwóch stron zamknięta jest ona przestrzenią, z jednej już widzimy ją ograniczoną przez czas. Powróciwszy jeszcze raz do naszej muchy, może i w czasie znajdzie się granica w przeciwnym względem poprzedniego kierunku.

Co się stanie z tą muchą? — zapytajmy Mentora.

Opowie on nam najrozmaitsze losy, jakim może uledz ta mucha, jej możebne koleje naturalne lub przypadkowe , jej sławę jeżeli wbita na szpilkę dostanie się do naukowego gabinetu i tak samo mieć będzie swój numer w katalogu, jak słoń, albo nosorożec; jej tragiczną dolę jeżeli wpadnie w dziób jakiego ptaka lub w ręce swawolnika, który jej poobrywa nóżki, albo skrzydła; jej męczarnie moralne jeśli się zaplącze w sieci pajęczej i nie mogąc się wydobyć, z trwogą patrzeć będzie na zbliżającego się strasznego wroga, pająka, i jej męczarnie fizyczne, gdy ów pająk pochwyci ją nareszcie w swoje mordercze uściski.

Ale mucha nasza już oddawna nie żyje. Zanatomizowaliśmy ją na składowe organa, jeden z organów rozebraliśmy chemicznie na pierwiastki, jeden z pierwiastków podzieliliśmy na najdrobniejsze mechaniczne cząsteczki... Cóż się stanie z tem wszystkiem?

Żadna, najmniejsza z tych cząsteczek nie zginie, — odpowie nam uczony, — każda będzie miała swą przyszłość, swą historję. Będzie z niemi to samo co z cząstkami ciała naszego po śmierci. Proces zgnilizny je rozłoży, zostaną martwemi, ale trwać i istnieć będą, aż znów jakiś proces organiczny naprzykład żywienie się wprowadzi je z kolei w organizmy ludzkie, zwierzące lub roślinne, gdzie będą

organami nowego życia. Każda z tych cząstek nieboszczki muchy, każda taka przynajmniej, której natura chemiczna jest do tego odpowiednia, może się stać kiedy cząstką mózgu wielkiego myśliciela, który nowe prawdy światu opowie, nowemi odkryciami zbogaci wiedzę, i krok jeden dalej na drodze do doskonałości ją posunie. Byt ten rozmaity lecz nieprzerwany trwać będzie wciąż z przemiany przechodząc w przemianę. Natura bowiem jest panią swego mienia, i bezpieczną od przywłaszczyciela, od złodzieja. Największy mocarz świata, największy geniusz w szeregu myślicieli nie zdoła jej zubożyć o jeden atom materji, o jeden punkcik przestrzeni, o jedną chwilę wieczności...

I dokąd że tak będzie?...

Dotąd, dopóki czas będzie istniał.

A dokąd czas będzie istniał?.. gdzie jest koniec tej wieczności?..

Niewiadomo.

Oto granica wiedzy z czwartej strony. Uczony nasz wyznać nam musiał, że jakkolwiek w późną przyszłość sięgnąć by mogła jego wiedza, nigdy jednak nie sięgnie aż do czasu, nad którymby już rozum nie pojmował późniejszego.

Z czterech stron tym sposobem oceanem nieskończoności, w który i po za który pojęcie ludzkie sięga jeszcze, ograniczoną jest wiedza ludzka i przedrzeć się weń nie może.

Ztąd wynika, że wiedza ludzka nie ma granicy w poznaniu tego, co jest skończone, że wszystko co jest skończonem, to jest objawy bytu w przestrzeni i przejawy jego w czasie, jest dostępne dla jej badania, ale nie ma wstępu w krainę nieskończoności, chociaż nieskończoność jest pojęciem dostępnem dla rozumu ludzkiego i wrodzonem mu tak dalece, że skończoności nawet pojąć nie może.

Z tego rozgraniczenia wiedzy ludzkiej od pojęć człowieka wynika także charakterystyczna jednego od drugiego różnica. Pojęcie jest wiedzą mniej doskonałą, wiedzą mówiącą sobie że coś jest, dlatego, że nie mogłoby niebyć, wiedza właściwa jest wiedzą doskonalszą, mogącą sobie powiedzieć, że coś jest, dla tego, że wszystkie przejawy bytu tego co jest zbadała. Pojecie nie będące jeszcze wiedzą jest świadome tylko samego bytu, pojęcie, które się już stało wiedzą, jest świadome praw tego bytu. Względem nieskończoności ludzie dojść mogą tylko do pojęć, względem skończoności do wiedzy.

Droga którą postępowaliśmy w tem badaniu jest drogą więcej teoretyczną niż praktyczną; ażeby dojść do zupełnego przekonania, że wnioski nasze są słuszne i niezawodne, winniśmy je jeszcze sprawdzić na innej drodze na drodze praktycznej, porównać wyniki do których nas naprowadziło nasze badanie z wynikami badań innych myślicieli, z historją wiedzy i pojęć ludzkich, z dziejami umysłowego rozwoju ludzkości. Jeżeli z tego porównania, z tego sprawdzenia, wyniknie, że nasze wnioski nie są różne od faktów historycznych, że tego czego nas tu nauczyło badanie jednej muchy uczą nas także dzieje postępu wiedzy i pojęć ludzkich, wtedy będziemy mieli pewność, że prawdy któreśmy odkryli są nieomylnemi prawdami.

Podzielmy tedy wiedzę ludzką na dwa ogromne działy, na wiedzę skończoności i nieskończoności, na wiedzę praw rządzących objawami i przejawami bytu i na wiedzę praw bytu samego, i szukajmy w historji, w którym z tych działów wiedza ludzka robiła postępy, a zatem była wiedzą, w którym zaś od kolebki ludzkości aż do tej chwili nie wzniosła się nigdy wyżej jak do pojęć. W tym dziele w którym postępowała, naturalnie niepodobna przypuścić, żeby nie miała postąpić w przyszłości i postępować dopóty dopóki sobą wszystkiego nie obejmie, w tym dziale w którym nigdy najmniejszego nie zrobiła postępu, jeżeli zwłaszcza pilnie i nieustannie nim się zajmowała, naturalnie niepodobna przypuszczać, żeby jakibądź postęp zrobić mogła.

Otóż historja wiedzy uczy nas, że człowiek przedewszystkiem niesłychanie rozszerzył zakres w którym zamykały go jego zmysły, i w którym go więziła krótkość życia. Teleskopem rozszerzył widnokręg i zajrzał w pszestrzeń tysiąckroć głębiej, niż zdolne było zajrzeć jego oko, mikroskopem spotężnił swój wzrok i dojrzał przezeń całe światy istot tysiąckroć drobniejszych od tych, jakie zaledwie mógł dopatrzeć najbystrzejszym wzrokiem, wkopał się w łono ziemi i w wykopaliskach odczytał dzieje, jakie przechodziła na setki i tysiące wieków przed jego pierwszem ukazaniem się na jej powierzchni. Co większa zrozumiał nawet jakim sposobem ta ziemia powstała z jednej wielkiej rozpalonej kuli słonecznej, jakim sposobem powstały wszystkie inne planety, i rachunkiem wykrył byt jednej z nich wprzód, nim ją jeszcze dojrzeć mogły teleskopy. W przyszłości najmniej zrobił odkryć, najmniej postępu; w porównaniu z wiedzą tego co było, ubogą jest wiedza ludzka w świadomość tego co będzie, i tu jednakże postęp jest widoczny, niezaprzeczony. Nietylko człowiek wie naprzód jakie będzie wzajemne położenie ciał na niebie za lat setki i tysiące, nietylko wie jaki punkt w wszechświecie zajmować będzie zamieszkała przezeń planeta, ale wie także, że ta planeta stygnąc powoli w pewnym dość jeszcze niedokładnie obliczyć się dającym czasie stanie się niezdolną do dawania życia istotom jemu podobnym, że i słońce

po czasie bez porównania dłuższym utraci zdolność świecenia i wydawania z siebie cieplika, wypali się i zgaśnie, a z nim cały system słoneczny zamrze i martwy błąkać się będzie po przestrzeni, dopóki po miljonach wieków może, jakieś spotkanie z inną gwiazdą straszliwem uderzeniem nie wzbudzi w tym systemie nowego ciepła a z ciepłem nowego życia.

Jakkolwiek jednak daleko posunął się człowiek wiedzą swą w nieskończoność w każdym z tych czterech kierunków, pojęcia nieskończoności nie rozjaśnił, nie zbadał, nie rozpowinął z pieluch, nie zrobił najmniejszego kroku do uczynienia go wiedzą.

Kosmogonja nasza tyle wie o początku i o końcu wszechświata, co kosmografia o jego granicy, to jest nic nie wie. Wszystkie objawy bytu i jego przejawy skończone zbadała lub chcąc dokładniej rozumieć, prawa rządzące temi objawami i przejawami skończonemi odkryła, albo odkrywa, ale praw, istoty, przyczyny samego nieskończonego bytu zbadać i objaśnić nie zdołała zupełnie.

Jak w tych gałęziach wiedzy tak było we wszystkich innych naukach. W niektórych wiedza zbliża się już do swego kresu; pod pewnym względem botanika i zoologja zaczynają pojmować początek życia roślinnego i zwierzęcego, ową pierwszą komórkę, o której już mówiliśmy, i koniec jego przez brak ciepła, będący skutkiem stopniowego wyczerpywania się jego źródeł. Gdy cały zakres ten w zupełności zostanie zbadanym, nauka i życie stanie się całością zamkniętą, ale też będzie to nauka nie o istocie lub przyczynie nieskończonego bytu materji, lecz o jednym z skończonych objawów tego bytu, a mianowicie o przemienianiu się materji w istoty żywe i o zamieraniu jej następnem, o powrocie do pierwotnego stanu. O tem co jest materja, jakim jest jej byt, kiedy się zaczął i kiedy skończy, nie będzie w tej nauce ani słowa.

Na którejkolwiek tedy karcie otworzymy historję wiedzy, przekonamy się zawsze, że wiedza ludzka postępuje tylko tam, gdzie przedmiotem jej są skończone objawy i przejawy bytu, jest nieruchomem niezdolnem do postępu pojęciem tam, gdzie idzie o nieskończoność.

Nauki ścisłe dalej nawet poszły od innych. Matematyka odbywa najrozmaitsze działania z ilościami nieskończenie wielkiemi i nieskończenie małemi, poświęca im całe swe działy, i tam jednak nieskończoność jest tylko pojęciem, nie jest wiedzą i w działaniach z nieskończonościami odbywanych idzie właściwie o wyłączenie tego X z rachunków, w które się zaplątało, i w których jego obecność mogłaby sfałszować albo zmącić i zaciemnić wypadki jasne i dokładne zawsze, gdzie idzie o ilości skończone.

Bardziej jeszcze niż matematyka nad poznaniem i zrozumieniem nieskończoności pracowała filozofia, i ona jednak nie była w swych poszukiwaniach szczęśliwszą. Filozofowie albo wychodząc sami z siebie budowali hypotezy na hypotezach, obalając jeden po drugim wznoszone przez siebie systemata, albo usiłowali udowodnić prawdziwość systemu, który im gotowy podawała ta albo owa teologia. Żaden jednak system teologiczny o ile się tyczył wiedzy nieskończoności nie mógł być filozoficznie obronionym, i żaden system filozoficzny wprost ze spekulacji myśliciela powstały, nie objaśniał zagadek bytu i nieskończoności czem innem jak nieskończonością i bytem, a zatem nie objaśniał ich wcale. Wielu filozofów, miało nawet tę szczerość wyznać, że czas i przestrzeń naprzykład są pojęciami niezłożonemi, które się wiedzą ludzką definjować nie dadzą. Inni silili się wprawdzie na definicję, nazywając czas pojęciem rodzonem przez następstwo wrażeń, przestrzeń pojęciem rodzonem przez wzajemne położenie przedmiotów, — ale zdrowy rozsądek mówi, że objaśniać czas przez następstwo to jest objaw czasu, albo przestrzeń przez położenie wzajemne przedmiotów to jest objaw przestrzeni, jest to omawiać ale nie określać, wykręcać się lecz nie tłómaczyć.

Historja wiedzy potwierdza zatem to, czego o granicach wiedzy nauczyło nas badanie jej dzisiejszego stanu, wywód nasz więc po tem sprawdzeniu możemy uważać za nieomylny.

Ołomuniec

Wspomnienie z lat 1864 i 65

przez

Tadeusza Romanowicza.

(Dokończenie.)

Kiedy tak u nas wrzała istna walka między zwolennikami a przeciwnikami podawania o ułaskawienie, zaszedł wypadek, który podających się do łaski jeszcze bardziej w ich przekonaniu utwierdził. Wypadkiem tym było uwolnienie głównego przywódcy węgierskiego spisku, Pawła Almassyego, o którym poprzednio wspomniałem.

Nadmieniłem już, że były to czasy upadku Schmerlinga, i pewnego zbliżenia się rządu do Węgier. Wpływ węgierskiej magnaterji we Wiedniu coraz się stawał widoczniejszym, a jak tylko Majlath został kanclerzem, Węgrzy siedzący z nami nabyli przekonania, że wkrótce wyjdą z więzienia. A byli tego tak pewni, że codzień prawie wyczekiwali tej radośnej nowiny. Zawiedli się jednak biedacy. W lipcu, podczas spaceru rannego wezwano raz Almassyego do komendanta fortecy. Spacer

się skończył, Almassy nie wracał jeszcze. Węgrzy robili najradośniejsze domysły — gdy w tem podczas roznoszenia obiadu profos zabrał z kaźni rzeczy Almassyego, mówiąc iż tenże otrzymał pozwolenie wyjazdu do kąpiel. Między Węgrami narobiło to kwasów takich, jakie między nami już od dłuższego czasu trwały. Mówili, że Almassy, nic nikomu nie mówiąc, podał sam o ułaskawienie — co zdaje się było nieprawdą — i że w skutek tego pozwolono mu wyjechać. Prawdopodobniejszem jednak było to przypuszczenie, że Majlath, należący do konserwatywnego stronnictwa, chciał przez uwolnienie Almassyego pozyskać sobie goretszą część magnaterji, a dać zarazem krajowi wskazówkę, iż sprawy na zgoła inne tory przechodzą. Bądź jak bądź, nasi zwolennicy podawania się do łaski wskazywali na uwolnienie Almassyego jako na fakt już dokonany, i utwierdzili się tem jeszcze bardziej w przekonaniu, że obrana przez nich droga prowadzi do celu. I wtedy to najwięcej podań wystosowano.

Długo jednak biedacy czekać musieli na rezultat swych zabiegów, i nie wszyscy go się doczekali. Dzień urodzin cesarskich (18. sierpnia), który jak nas z kraju zapewniano, miał być przeznaczony na wydanie amnestji jeżeli nie dla wszystkich, to przynajmniej dla tych, którzy podali o ułaskawienie, minął bez żadnego nadzwyczajnego wypadku. Skończył się sierpień — i jesień już do nas zawitała i kwiaty przez nas zasiane przekwitły, w maleńkiem ogródku pusto się znowu zrobiło i smutno jak w naszych duszach.

Aż 30. września wieczór posłyszeliśmy brzęk szabel po korytarzach, głośną rozmowę oficerów i otwieranie jednej kaźni po drugiej. Rewizja? czy amnestja? nie śmieliśmy nawet głośno zadać sobie tego pytania, choć każdy miał je na ustach. Z bijącem sercem stanęliśmy pod drzwiami naszemi, słuchać co się dzieje. Słyszymy z naprzeciwka radośne wołanie: Stadnicki wolny! więc amnestja częściowa. Wtem zbliżają się do naszej kaźni, otwierają drzwi — wchodzą.

— Bielański! *Sie sind frei!* (Jesteś pan wolnym), rzekł kapitan, i wyszedł zaraz, zamykając napowrót w kaźni uwolnionego więźnia. Można sobie wyobrazić, jak dziwnie byliśmy wzruszeni. Radość z powodu uwolnienia kochanego Australczyka, któremu groziła słabość piersiowa, a naturalny bardzo żal, że nam nie dozwolono jeszcze używać wolności, że nas może aż do końca kary przetrzymają — te sprzeczne uczucia tak nami owładnęły, że nie można było oka zmrużyć przez noc całą.

Później dopiero dowiedzieliśmy się, że ułaskawionych jest siedmiu: Haller, Drohojowski, Bielański, Stadnicki, Tarnowski, Dymidowicz i Bystrzonowski. Przenocowali w kazamatach — na drugi dzień rano dopiero wypuszczono ich na miasto, po południu wrócili jeszcze by zabrać rzeczy i pożegnać się z nami, a w nocy odjechali. Przyznać trzeba, że przy pożegnaniu znikły zupełnie owe kwasy i nieporozumienia, myśmy radzi byli ich uwolnieniu, oni przy całej radości tyle nam okazali serdecznego, prawdziwie braterskiego współczucia, żeśmy się rozstali już w zgodzie zupełnej.

Po odjeździe uwolnionych kolegów smutne dość, lecz spokojniejsze zaczęło się życie. „Od czasu odjazdu ułaskawionych — pisałem wówczas w jednym z listów do rodziny — w życiu naszem wiele się zmieniło. Spacer prawie pusty, i przypomina mi pierwsze czasy mego pobytu tutaj, gdy nas jeszcze było tak mało. Mieszkam też znowu w tej samej kazamacie, gdzie mnie zaraz po przyjeździe zakwaterowano, z Kalickim i Bogdanowiczem. Jesteśmy zdrowi i dobrej myśli. Obawiam się, że może zanadto oddawaliście się nadziejom, które spełnionemi być nie mogą — a zawiedziona nadzieja to złe najgorsze. Dla tego też zupełnie się jej wyrzekłem, i spokojnie gotuję się do wysiedzenia reszty kary, a przecież 10 miesięcy to mniej niż 23, które już przesiedziałem.“ Słowa te malują wiernie ówczesne nasze usposobienie. Pominięci przy owem ułaskawieniu, byliśmy już prawie pewni, że do końca kary będziemy musieli wysiedzieć, a nie łudząc się niczem, byliśmy o wiele spokojniejsi, oddali się gorliwie pracy umysłowej, kreślili plany studjów na całe jeszcze lata.

Stało się jednak inaczej — zupełnie wbrew naszym oczekiwaniom. W sześć dni po napisaniu owego listu, z którego ustęp przytoczyłem powyżej, a który tak stanowczo usuwał myśl ułaskawienia — a było to dnia 20. listopada — usłyszeliśmy znowu na korytarzach brzęk szabel i otwieranie drzwi. Byliśmy pewni, że to rewizja, rozglądnęliśmy się więc po kaźni, czy niema czego, coby trzeba schować, i spokojnie oczekiwali rewizji. Wreszcie otworzono i nasze drzwi. Wchodzi kapitan, ów luby, chudy o jaszczurczem wejrzeniu, co to na Wielkanoc groził nam kijami, dziś, jak zmieniony! Trząsł się jak we febrze, czy ze złości może? Nie wiem. Z telegramem w ręku zbliża się do Kalickiego:

— Jak się pan nazywasz?

— Kalicki.

Kapitan zaglądnął do telegramu — *Sie sind entlassen* (jesteś pan uwolniony) — rzekł po chwili.

— A pan? pyta dalej zwracając się do mnie.

Powiedziałem mu moje nazwisko. Wytrzymał mnie chwilkę, która wiekiem mi się wydała, zanim powiedział, żem i ja wolny. Z Bogdanowiczem przebyliśmy prawdziwie bolesną chwilę. Był on skazany za zbrodnię stanu na lat 6. Zapytany o nazwisko dodał: „wątpię bym był uwolniony, bo jestem *Hochverräther*.“ Kapitan długo szukał, odczytywał dwa razy telegram,

zanim wyczytał nazwisko Bogdanowicza i ogłosił mu wolność. Zapytaliśmy, czy wszyscy wolni, kapitan tego nawet nie wiedział, i wybąknąwszy jakieś słówko marne o radości, jaką mu to sprawia, wyszedł, i znowu nas na klucz zamknął.

Sporą chwilkę nie mogliśmy wyjść z osłupienia. Jaka radość nami owładnęła, gdyśmy przyszli już do zupełnej wiadomości tego, żeśmy wolni, łatwo sobie czytelnik wyobrazi. Liczyliśmy godziny, jakie nas dzieliły jeszcze od oswobodzenia zupełnego, i wzięli się zaraz do pakowania rzeczy. Żeśmy prawie całą noc nie spali — rzecz jasna. Komiczne wrażenie zrobił na nas profos. Z rozpaczy upił się zupełnie — chodził od kaźni do kaźni, i płakał: Co ja bez panów będę robił? powtarzał ustawicznie, co znaczyło: kogo teraz będę obdzierał? — i prosił, by mu co na pamiątkę zostawić. Daliśmy mu więc herbaty, cukru, kawy, — zostawili nieco naczynia, którego nie można było zabrać ze sobą, i profos wyszedł, płacząc i narzekając.

Do dziesiątej godziny rano załatwiano jeszcze różne formalności — po dziesiątej dopiero otworzyła się przed nami brama więzienia, która się przed rokiem za nami była zamknęła.

Czytelniku — jeżeli nigdy nie siedziałeś w kozie, daj się zamknąć choćby na kilka miesięcy, na to tylko żeby z kozy wychodzić. Żeby doznać uczucia tego, wartoby się trochę przesiedzieć. Jaki świat cały uroczy, jak każdy kogo spotkasz wydaje ci się piękniejszym, i lepszym i radbyś każdego uściskał i powiedział mu, jestem wolnym jak ty człowiekiem — a w piersi grają takie akordy szczęścia, że zda się, pomieścić ich nie zdolna. Raz jeszcze radzę, czytelniku daj się zamknąć do kozy.

Poprowadzono nas do komendy, by nam oddać pieniądze i kosztowności i inne rzeczy, które nam poodbierano. Listów pisanych do nas nie chciano oddać — bo i wojskowość ma swoją biurokrację — co jest *„aktenmässig eingetragen“* oddanem być nie może. Poprowadzono nas potem na policję, gdzie jakiś garbusik powydawał nam paszporta, i zaprowadzono napowrót do komendy.

— Jego Ekscelencja oczekuje Panów — rzekł kapitan, grzeczny dziś i słodziutki jak lukrecja, — i wskazał na drzwi przyległego pokoju. Zastaliśmy tam zastępcę nieobecnego komendanta z kilkoma jeszcze wyższemi oficerami. Jenerał powiedział sążnistą mówkę, której sensem moralnym było wezwanie, byśmy przez niego podziękowali za doznaną łaskę. Gdy skończył — głuche zapanowało milczenie — nikt z nas nie wystąpił. Jenerał zaambarasowany nieco, wzywa nas poraz drugi. Znowu milczenie. Zniecierpliwiony wreszcie powiada: może jeden z panów powie za wszystkich. Po tem trzeciem już wezwaniu, występuje najstarszy z grona naszego, zacny Henryk Janko:

— Excellenz, wir haben lange auf diesen Akt der Gerechtigkeit gewartet, und empfangen ihn mit Anerkennung. (Ekscelencjo! oczekiwaliśmy długo tego aktu sprawiedliwości, i przyjmujemy go z uznaniem).

Skrzywił się jenerał, jak gdyby wypił szklankę centurji, i szybko a niecierpliwie nas pożegnał.

Mieliśmy w nocy dopiero odjeżdżać — profos więc chcąc nas godnie pożegnać, wystąpił z obiadem, za który zapłaciliśmy drogo. Po obiedzie kazano nam podpisywać deklaracje, iż się z obranego miejsca pobytu bez pozwolenia policji wydalać nie będziemy, i długie a pełne serwilizmu podziękowanie. Podpisaliśmy deklarację, oświadczając co do drugiego aktu, że jużeśmy ustnie podziękowali w komendzie. Prosił się biedny profos, i oburzał znowu, i znowu prosił — nic nie pomogło. Zapłaciliśmy za obiad, poszli jeszcze na chwilę do kazamat, by się pożegnać z poczciwymi Węgrami, i tymi z naszych na których amnestji nie rozciągnięto (Bernaczyk i Różycki) i wyszli na miasto, by już więcej do klatek naszych nie wrócić.

Zwiedziliśmy po obiedzie miasto całe — piękny kościółek św. Maurycego, pałac arcybiskupi, monument wspaniały, stojący na rynku, wały forteczne — a w nocy udaliśmy się na kolej. I znowu ta sama trąbka konduktora, ten sam świst lokomotywy, który przed rokiem zapowiadał nam długą niewolę — zapowiedział teraz wolność.

Wolność! czy to tylko prawda? Zapomnieliśmy wówczas na chwilę, że to nie wolność jeszcze — że to tylko zamiana niewoli. Z ciasnego więzienia wypuszczono nas tylko do obszerniejszego, do więzienia, którego bramy od lat stu już za nami zamknięte.

Lecz i ono się kiedyś otworzy. A będzie to chwila tak wspaniała, że ni słowo ludzkie dość silne, by ją opisać — ni wyobraźnia dość żywa, by ją pojąć — ni pierś nasza dość czysta, by ją godnie uczcić. Szczęśliwy kto dożyje tej chwili — szczęśliwy, kto mieć będzie sił tyle, by mu wówczas serce nie pękło z radości.

KONIEC.

Bruno.

Fantazja dramatyczna

osnuta na tle prawdziwych wypadków

z powstania na Ukrainie w roku 1863.

przez **A..... H.....** (Ciąg dalszy).

Scena III.

(*Ciż sami, oprócz Rotmistrza*).

LUCYLLA (*patrzy za Rotmistrzem*).

Poszedł — wzruszon głęboko! (*do Leonii*)

Co wnosisz z tej mowy?

LEONIA (*chwieje głową*).

Stary lew chce swobody i wstrząsnął okowy!

WŁADZIO (*obejmuje Leonię rączkami*).

Moja droga Leonio!

LEONIA (*tuli go do łona*).

Braciszku! dziecino!

WŁADZIO (*nadsłuchuje*).

Wicher zaszumiał lipiną...
Słyszysz? — jęczy! — Leonio! ja czegoś się boję

LEONIA.

Czas ci usnąć kochanie ty moje...

(*układa go do snu i cichem głosem nuci kołysząc:*)

W złomach szabel, w gruzach sławy,
W rdzawych szczątkach dział,
W kurzu zlanej krwią murawy,
Syn swobody spał.
Szumiał z wichrem step szeroki,
Cichych niebios strop wysoki
Złote blaski siał!

LUCYLLA.

Złote blaski siał!

LEONIA.

Z tła błękitu, w strunach złota,
Z prześwietlonych gór,
Srebrny ptak, gdzie spał sierota,
Zniżył biel swych piór;
Rozpiął skrzydło lilijowe,
I w koronie złotej głowę
Schylił z łona chmur!

LUCYLLA.

Schylił z łona chmur!

LEONIA.

Biały orzeł, ptak z za świata,
O! — widziadło snów!
W gniazdo, jako gość przylata,
By odlecieć znów.
On w przeszłości mgłach pamięta
Ród sierocy, swe orlęta,
Spiewa żal bez słów!

LUCYLLA.

Spiewa żal bez słów!

LEONIA.

O! korona, Litwa — dziecię!..
Słyszę kajdan brzęk!
Święta Ruś... ach! orlę trzecie!
Jeden głośny jęk!
Święty, wielki płacz sierocy,
W przedwiecznego słowa mocy
Zmienić w hymnu dźwięk!

LUCYLLA.

Zmienić w hymnu dźwięk!

LEONIA.

Wzleciał orzeł w tło olśnione,
Znikł w srebrzystej mgle,
Chłopię, bólem namaszczone,
Oczy w przestrzeń szle!
Duch w nim ocknął się wybraniec
Boskiej myśli pomazaniec:
„Wolnym w pętach źle!"

LUCYLLA.

Wolnym w pętach źle!

(*Władzio usypia. Lucylla wpatruje się w dziecko*).

Usnął. Całą twarzyczkę owiewa tęsknota —
Biedny, maleńki sierota!
Nie znam twarzy dziecięcej z tak smutnym wyrazem.

LEONIA.

Twarz sieroty jest życia sieroty obrazem;
Tego życia, któż niezna?
To stara piosenka!
W wieku, kiedy złocista nadziei jutrzenka,
Jak z błękitu przeźroczej głębiny
Świeci innym od niebios miłości matczynéj,
W wieku, w którym Anioły i kwiaty
Śnią się, w zorzy złoconej owiane szkarłaty,
Dusza biednej sieroty, bez światła miłości,
W umarłych świecie już gości!
Oko łzawe sieroty nie ujrzy już kwiatka,
Tylko grób, a na grobie dwa słowa: *Twa matka*!

(*ze wzrastającem wzruszeniem*).

I ta matka na dziecka już łkanie
Pomścić krzywdy sierocej — nie wstanie; —
Córce młodej ślubnego nie przypiąć jej wieńca
Ni uzbroić jej syna młodzieńca!
Matki serca, ni prośba, ni płacz mój nie zbudzi —
I zimno, mroźno śród ludzi!

(*chwila milczenia*).

LUCYLLA.

Mroźno? zimno? Bolesna twa strata,
Lecz czyż niemasz ni ojca, ni brata,
Czy nie pomnisz, że siostrę masz we mnie,
Że twój Bruno tak tęskni daremnie?
Czucież j e d n ą odzywa się struną?

LEONIA (*w zamyśleniu*).

On mię nie kocha — mój Bruno!..

LUCYLLA.

Zkąd to wniosłaś? to smutne rojenia!

LEONIA.

Ty nie widzisz! — On codzień się zmienia,
Codzień twarz ma chmurniejszą, wejrzenie nieśmielsze,
Czoło w bladości swej bielsze,
Czasem rozpacz zeń patrzy tak dzika
I — on mych spojrzeń unika!

LUCYLLA (*chcąc pokryć niepokój*).

Przywidzenie, nic więcej! Cień smutku cię dręczy,
Zanim szczęście twą przyszłość otęczy.

LEONIA.

Zważ. On niebył dziś u mnie, on nie chciał mię widzić,
Z uczuć sercu najświętszych chce szydzić,
Tkliwych słów mi nie mówi, nie pieści tak żywo —
Nie; — ja nie będę szczęśliwą!

LUCYLLA (*z niepokojem wzrastającym*).

Ty mnie trwożysz!
(*na stronie*) I być że to może?
Biedna! tyż byś przeżyła? mój Boże!
(*głośno*)
Lecz rozsądek w domysłach pewności nie widzi.

LEONIA (*z boleścią*).

Wierzaj; miłość odgadnie i przyszłość przewidzi.

Scena IV.

(*Ciż sami. Bruno wchodzi zamyślony nie widząc obecnych. Lucylla żegna skinieniem Leonię i wychodzi.*)

BRUNO (*do siebie*).

Wszędzie zamęt. W mej piersi, w mej głowie...
Myśl się treści wszechbytu nie dowie —
Dokoła sfinksy — tajniki!
Sen o szczęściu, konieczność katuszy,
Bezmiar niebios i otchłań mej duszy —
To chór, — lecz straszny i dziki!

Co w mej piersi tak wre? co w niej śpiewa,
Łka i tęskni, i z płaczu omdlewa
Bolejąc.. nad czem? ja nie wiem!
Co w mej głowie wciąż w trudzie, wciąż w boju,
Rwie się w przestrzeń, nie zazna spokoju,
Skroń pali ogniem, zarzewiem?

Myśl się w boju złamała, duch znużył,
Spokój wiary jam zdeptał i zburzył
I ziębł tu w sercu, i zdziczał.
Pusto wszędzie. Świat w mroku przedemną, —
Będęż cierpiał? i będęż daremno
Boleści ran mych wyliczał?

LEONIA (*na stronie*)

Przyszedł — nie spojrzał — nie wita —
Z ócz mych niemej boleści nie czyta,
Chmurne spojrzenie sokole,
Walka na czole!..
(*głośno*)
Bruno! przemów co do mnie!
(*z boleścią*)
Nie słucha!

BRUNO (*jak wyżej.*)

Organiczna budowa tak krucha —
Chwili trzeba...

LEONIA (*przerywając*)

O! w imię litości!
Przemów! przemów, przez pamięć miłości,
Mój Brunonie!

BRUNO (*spostrzega ją i staje jakby zdziwiony z żalem*).

A! biedna Leonka!

LEONIA (*z uczuciem*).

Bracie! raniej niż piosnka skowronka,
Głos twój niegdyś w tych dźwięczał komnatach!
W świetle ranku i w zorzy szkarłatach
Twarz twa kwitła uśmiechem pogody,
Piosnką szczęścia dźwięczały ogrody,
Czas nam upływał tak mile!
Gdzież dziś jak roje motyle,
Znikły te chwile!

BRUNO (*z żalem*).

A były piękne!

LEONIA.

Mój Boże!
Był to sen; sen promienny, jak zorze,
Sen szczęśliwy! Snać los mi zazdrościł...
Na twem czole cień smutku zagościł,
Znikł nasz spokój, tak jasny, tak cichy,
Ach! i piosnki i kwiatów kielichy...
Wieńce, które splatałeś mi nieraz
Zwiędły. A teraz!..

BRUNO.

O mój Aniele! na ziemi
Kwiaty tobie nie będą stałemi!

LEONIA.

Bruno! dziś mię już nie zwij, o! nie zwij Aniołem!
(*z rozpaczą*).
Nie wiesz, jaka tu chmura zawisa nad czołem,
Jaka boleść niezmierna tu w łonie
Szaleje, wiarę mą chłonie!
Dziś mię nie zwij Aniołem! Anieli nie płaczą,
Oni nie mdleją rozpaczą
Nieufności, zazdrości nie czują,
Chwil swych nie trują.

BRUNO (*poważnie*).

Duchy — bytu na chwile nie liczą

LEONIA (*z wyrzutem*).

Brono! kiedy ja płaczę, ty szydzisz z goryczą!

BRUNO (*stanowczo*).

Posłuchaj! Różną od waszej mam drogę,
Zejść z niej — nie mogę...
Droga moja jest straszną i ślizką,
Przepaści groźnej tak bliską!
Więc cię nie śmiem upewnić, żem twoim już wiecznie
Nie śmiem wyrzec, że ze mną bezpiecznie,
Jam ukochał cię jedną wśród piękna królewien,
Lecz czy kocham nad cel mój nie! — jestem nie pewien...

LEONIA (*Zasłania dłonią oczy. Chwila milczenia, potem mówi przez łzy*).

Jam tak młoda!.. Mnie śmiercią niepewność,
Siła moja — to uczuć mych rzewność,
Mój cały skarb — to prostota,
Cichość i cnota!
Ja nie znam burz tych namiętnych,
Pragnień wiedzy, gorących lecz smętnych,
Które pieszczą i ciągną i dręczą
Duszę twoją, twą pychę młodzieńczą;
Ja nie znam zwycięstw. ni boju
Jasne niebo świeciło jak w zdroju,
W lat mych spokoju!
(*podnosi wzrok na Brunona i załamuje dłonie*).
Czemuż dumny jak władca w koronie —
Duch twój zmącił ten spokój — Brunonie?
Samowładny wciąż w walce, wciąż czynny,
Lekceważył on raj mój niewinny?

Szedł ze wzgardą, wśród fiołków kobierca,
Kwiat podeptał, co życie mi słodzi; —
Mój Bruno! — tak się nie godzi, —
Tyś jest bez serca!

BRUNO (*cofa się, patrzy na nią przez chwilę i mówi z zapałem*).

Nie! — nie bluźnij! — Tu winny te nieba błękity,
Winna przeszłość, ciąg dziejów przebyty,
Winny burze i gwiazdy i chmury
Wieczność, harmonja natury!
Winno piekło — i nicość — i Eden!
Wszystko winno — niewinien jam jeden!
Lecz bądźmy dziś, jak w tej chwili,
Gdyśmy czuli, kochali, marzyli,
Plećmy wianki, lub mówmy pacierze —
Mniejsza: w zwątpieniu, czy w wierze!
Znów niech echo gaików i wzgórzy
Śmiech nasz pusty i piosnkę powtórzy!

(*przyciąga ją ku sobie*).

Chodź tu bliżej — niech znów cię popieszczę!
Zostańmy dziećmi raz jeszcze!

LEONIA (*odtrąca go*).

O! — jak gorżko ty szydzisz sam z siebie!

BRUNO (*bierze przemocą jej rękę*).

Daj mi rękę. — Nie jestem - że w niebie?
Piękna rączka! —wszak szczęście w niej leży?
Szczęście dzieci, szaleńców, pasterzy;
Niebo, droższe nad skarby i strony,
Raj mój... stracony!

LEONIA.

Stracony?...

BRUNO

Życie ucieka.
Czas mi w drogę! — A! droga zbyt może daleka...

(*Wybiega. Leonia płacząc odchodzi w przeciwną stronę*)

(Ciąg dalszy nastąpi).

Marzyciele.

Studjum socjologiczne

przez

Bolesława Limanowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Plato wrócił do Aten prawdopodobnie w 360 roku t. j. już prawie siedemdziesięcioletnim starcem. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, przez następne dwanaście lat życie wielkiego mistrza upływało spokojnie wśród uczniów, albowiem o żadnych ważniejszych wypadkach jego osoby dotyczących nie dochodzą nas wieści z tego okresu; a wiemy tylko, że zajmował się nieustannie swemi pismami, i że zdrowie umiarkowanem życiem i spokojem ducha podtrzymywane wciąż mu służyło. Umarł w dniu swych urodzin 348 r., przeżywszy 81 rok. Pochowano go niedaleko od akademii. Ateńczykowie wystawili mu pomnik, który Pauzanjasz jeszcze oglądał. Aristoteles postawił mu ołtarz, a wszyscy uczniowie Platona corocznie święcili dzień jego urodzin.

Charakter nauczyciela, mistrza, filozofa zaciera przed nami rysy prywatnego człowieka w Platonie. Jeżelibyśmy go mieli sądzić z pism jego, to przedstawiał by sobą wzór najdoskonalszego człowieka, jakiego tylko w stanie był wydać świat pogański, z wyjątkiem może jednego Sokratesa. Moralność jest nicią przewodnią Platona, której nigdy nie opuszcza przy wysuuwaniu zapatrywania się swego na cel życia człowieka i jego obowiązki. Dobry człowiek podług niego jest najświętszą rzeczą i największą świątynią Boga (Euthydem). Sprawiedliwość, mądrość, panowanie nad sobą stanowią najszlachetniejsze przymioty człowieka. Ten, który posiada te wielkie zalety, słowem mędrzec (σοφος), jest ideałem, do doskonałości którego wypada starać się zbliżyć.

W stosunkach rodzinnych, o ile doszły nas szczegóły tego rodzaju, widzimy, że zawsze pamiętał o swych krewnych. Speuzippus syn jego siostry, Platony, był jego uczniem, jeździł z nim razem do Sycylii, a po śmierci swego wuja zajął miejsce nauczyciela w akademii. Synowi brata swego Adejmantusa, jak to wiemy z testamentu, zapisał jeden z pozostałych po nim domów wiejskich.

Widzieliśmy, jak głęboką cześć i wdzięczność przechował Plato dla swego nauczyciela. Powiadają, że chcąc wyjednać zwłokę wydania wyroku na ulubionego swego mistrza, ofiarowywał całe swe mienie, co wszakże okazało się niedostatecznem wobec rozgniewanego pospólstwa. Stałości jego przyjaźni mamy dowody na stosunkach z Dionem i Izokratesem sławnym mówcą, rówieunikiem jego, z którym zawiązane stosunki przyjaźne w dzieciństwie przetrwały aż do starości.

Jako nauczyciel zjednał sobie wielką sławę. Zawsze go otaczał ogromny orszak uczniów, którzy ze czcią i przywiązaniem wspominali go następnie, jakkolwiek z charakteru skupiony więcej w sobie i milczący — nie był skory do udzielania się, a zawsze poważny wzbudzał pewną obawę, i dla tego o nim powiadano, iż wygnał śmiech i wesołość ze swojej akademii. Jeżeli powaga, jaką siebie otaczał, i zamknięty jego charakter ustrzymywały uczniów w pewnych granicach, to łagodność charakteru, która się malowała w oczach, ośmielała ich do szukania odpowiedzi na liczne zagadnienia myślącemu umysłowi nasuwające się. Zdolności uczni swoich umiał oceniać i rozróżniać. Aristotelesa, który w innym kierunku jak jego nauczyciel pchnął wiedzę, nazywał rozsądkiem swojej szkoły.

Pomimo, że tłumy uczniów uczęszczały na naukę do jego ogrodu, pomimo, że przyjezdni cudzoziemcy spieszyli go zobaczyć i posłuchać, pomimo pokrewieństwa z zamożnemi rodzinami, pomimo stosunków jego z władcami, pomimo życia wstrzemięźliwego i oszczędnego, majątek pozostał po nim bardzo mierny, a mamy dokładny spis jego [1]). Dostatecznie to przekonywa, że Plato nauczał nie w celu zbogacenia się, ale dla u-

---

[1]) Dwa domy wiejskie, 3 miny złota, czterech niewolników, 2 srebrne puhary: jeden 165 drahm, a drugi 45 drahm mające wagi, złoty pierścień i złoty kulczyk.

powszechnienia swoich zasad i przekonań [1]). Mając to na uwadze jak również jego gotowość poświęcenia majątku dla ocalenia życia Sokratesa, należy przyznać, że zarzut skąpstwa i chciwości stawiony mu przez Suidasa niczem nie jest usprawiedliwiony.

Zawiść nie ominęła i inne powykrywać wady. Tenneman [2]) wszakże w wyczerpującem swem dziele, po ścisłym rozbiorze zarzutów, wykazał albo zupełną ich bezzasadność, albo przedstawił je w innem a mniej niekorzystnem świetle dla Platona. Nareszcie wypada to uznać, że wady wielkich ludzi gasną zupełnie przed ich zasługami. Słusznie powiada autor artykułu o Platonie w znakomitej Encyklopedji francuskiej przedrewolucyjnej, że „zło, jakie popełniają, ustaje wraz z nimi, ale dobro, jakie wypływa z ich utworów, trwa wiecznie“ [3]).

Późniejsi biografowie Platona, idąc za świadectwem Aulusa Gelliusza, przyjęli jako rzecz pewną stosunek jego miłośny z Agatonem i widzieli w tem oznakę głębokiego zepsucia naszego mistrza. Trzeba wszakże nasamprzód mieć na względzie to, że pojęcia Ateńczyków co do tego przedmiotu były wcale odmienne [4]) od naszych, a które i Plato jako Ateńczyk z przekonania widocznie podzielał [5]). Powtóre, są to tylko domysły, oparte jeno na tem, że Plato nazywa Agatona pięknym, i że ułożył wiersze na cześć jego piękności. Stanowczego zaś świadectwa niema [6]). Co do stosunków Platona miłośnych z kobietami nic nie wiemy. To tylko wiadomo, że przez całe życie pozostał bezżenny. Plato jednak był mężczyzną ujmującej a nawet pięknej powierzchowności. Opisują go, że miał rysy prawidłowe, oczy pełne łagodności, czoło wysokie i otwarte, pierś szeroką, plecy wysokie. Wyraz twarzy miał poważny, chód miarowy, a całe zachowanie się jego cechowała wielka godność.

Zrażony tym stanem politycznym, jaki istniał, usunął się Plato do krainy myśli i zamknął się dobrowolnie w ogrodzeniu szkoły, rozwijając i prostując pojęcia swych uczniów. Możnaby więc go posądzić o brak uczuć patrjotycznych i obywatelskich, słowem o tę obojętność, jaka się wydarzała u innych wielkich ludzi, jak n. p. Archimedesa i Göthego, co do losów swego kraju. Usunąwszy sie od ruchu politycznego, do którego może i nie był zdolny, nie przestawał jednak mistrz wielki podnosić uczuć patrjotycznych i obywatelskich w umyśle swych uczniów; nie odmawiał rady, gdy o nią pytano; nareszcie wciąż myślał o lepszych warunkach, w jakich państwo trwalszem, pewniejszem o swą niezależność i szczęśliwszem być może. Że nauka jego podnosiła patrjotyczne uczucia, dowodzi nam sława i czynność trzech mowców znakomitych, Demostenesa, Hyperidesa i Likurga, oraz wysoki patrjotyzm Focjona, którzy to wszyscy, jak już wiemy, byli jego uczniami. Są też świadectwa, że mieszkańcy Teb, Cyreny, arkadyjskiego miasta Megalopolis, kretskiej kolonii Magnezji, Sycylijczycy zwracali się do niego, prosząc o radę. Powiadają, że Kreteńczykom przy założeniu Magnezii przesłał dwanaście ksiąg praw, że mieszkańcom Elei posłał swego ucznia Phormiona, mieszkańcom zaś Pyrrhy Menedema. Władca Tracji uważał siebie za ucznia Platona i kierował się jego radami. Jeżeliby nawet starożytni pisarze przecenili doniosłość tego kierownictwa, to w każdym razie objawiało ono dobrą wolę, która pragnęła pożytku i szczęścia państw wielkiego narodu, którego on był synem. Nareszcie Plato mógłby o sobie powiedzieć to, co włożył w usta Sokratesa, że nauka jego może największe dobro dla państwa przynosiła [1]). Filozofia też jego miała rzeczywiście przedewszystkiem na celu pożytek i szczęście ludzi. Najulubieńszym jego utworem była Rzeczpospolita, w której szuka nowych podstaw, na jakich mogłaby społeczność szczęśliwie i bezpiecznie byt swój urządzić. Po śmierci jego znaleziono Rzeczpospolitę w wielu miejscach poprawioną i znacznie zmienioną — z tego można wnosić, jak go ustawicznie zajmowało pytanie dotyczące dobrego urządzenia państwa. Myśl jego nieustannie skierowana do badania tego, co byłoby pożytecznem dla ludzi i społeczeństwa, czyni go, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, zwolennikiem kierunku utylitarnego; a zwłaszcza w Rzeczypospolitej wyraźnie to się objawia. Podług Platona, pożyteczne jest pięknem, a szkodliwe sromotnem [2]); wszystko, co niszczy i psuje, jest złem, a co ocala i pożytek przynosi, dobrem [3]).

Plato nie jest to ścisły filozof, jest to filozof-poeta. Rozległy rozum połączył się w nim z skrzydlatą wyobraźnią. Z tego powodu jest dedukcyjny. Ścisłości w rozumowaniach jego niema, zastępuje ją bystrość, z jaką dostrzega cechy wspólne w przedmiotach najmniej do siebie podobnych. Bystrość ta odgadywania wypływająca jakby z tajemniczego źródła wzmogła usposobienie mistyczne Platona. Rozprawy jego filozoficzne z powodu swego układu i języka są niemal utworami poetycznymi. Nadanie wybitnego charakteru osobom przyjmującym udział w dyalogach i utrzymanie ich przez cały ciąg rozprawy we właściwym charakterze wskazują na zdolności dramatyczne wielkiego myśliciela.

Empiryczną wiedzę Plato podzielał ze współczesnymi. Pojęcia przeto jego o układzie świata i o budowie ciała ludzkiego wskazują tylko, jak wielki postęp od tego czasu nauka zrobiła. Muzyka w sferach, rozmaitość barw, jakiemi się planety miały odróżniać, obrót dzienny gwiazdzistego nieba od wschodu na zachód — stanowiły pewnik dla Platona jak i dla ówczesnych astronomów. Na dnie morza, był pewny, że niema już żadnej roślinności, a znajduje się tylko piasek, muł i błoto [4]). O nerwach nic nie wiedział. Sny, sądził, że

---

[1]) Platona Rzeczpospolita czyli co jest sprawiedliwość — przekładał Antoni Bronikowski. Rozmowa pierwsza. Ostrów 1862. Str. 10. Sokrates przycina sofistom, że uczą za pieniądze.

[2]) System der Platonischen Philosophie.

[3]) Encyclopédie Methodique. Philosophie ancienne et moderne par citoyen Naigeon. T. III. str. 430.

[4]) Uczta Platona zawiera mowę Pauzanjasza (rozdz. 10), w której maluje się pogląd Ateńczyków co do tego przedmiotu.

[5]) Phedrus, rozdział 29.

[6]) Przeciwnie nawet sam Plato wkłada w usta Aristofanesa słowa wskazujące na stosunek miłośny Pauzanjusza z Agatonem. Uczta, rozdz. 16.

[1]) Obrona Sokratesa, rozdz. 17.

[2]) Rzeczpospolita, ks. V. rozdz. 6.

[3]) Rzeczpospolita, ks. X. rozdz. 9.

[4]) Phedon, rozdz. 58.

powstają w wątrobie. W ogóle, filozof nasz dość jest łatwowierny w rzeczach naukowych.

Na filozofią Platona, jak już wiemy, główny wpływ miała nauka pitagorejczyków, eleatów i Sokratesa. Od pitagorejczyków wziął on pogląd na przyrodę i pochopność do mistycyzmu; z ich to nauki wypływa jego przekonanie o mistycznem znaczeniu liczb, o muzykalności sfer niebieskich, o metampsychozie. Nawet przypuszczają, że Timeusz, w którym rozwinął zapatrywanie się swoje filozoficzne na przyrodę, jest przerobieniem tylko dzieła Proklusa pitagorejczyka [1]). Znakomitej też nauce Pitagora, bezwątpienia, zawdzięcza to wysokie pojęcie, jakie posiada o uczuciu samodzielności i panowania nad sobą w człowieku. Nareszcie, zdaje się, że poglądy sycylijskich i tarentskich jego przyjaciół nie pozostały bez wpływu na wzrost usposobienia w nim arystokratycznego.

Idealny, nadzmysłowy kierunek, jaki cechuje filozofią Platona, bierze swój początek w nauce eleatów. Z nimi podzielał nasz myśliciel to przekonanie, że zmysły oszukują, i że sam tylko rozum jest zdolen poznać prawdę, albowiem zewnętrzne objawy świata są tylko niedokładnem odbiciem ukrytej w nich myśli (idei).

Że wpływ Sokratesa był wielki, samo się przez się rozumie. Ulubionemu swemu nauczycielowi, który zawsze okazywał niechęć dla wszelkich rozumowań i wywodów niemających zastosowania do życia ludzkiego, zawdzięcza Plato przeważnie charakter etyczny swojej filozofii i ciągłe baczenie na pożytek człowieka.

Hegel uważa, że filozofia jako samodzielna umiejętność rozpoczyna się od Platona. I w samej rzeczy on ją określa, porządkuje i rozgranicza jej działy. Podług niego, filozofia powinna tylko za pomocą myślenia badać to, co jest stałem i prawdziwem samo w sobie, omijając pośrednictwo zmysłów, które dają przedstawienia rzeczy zmiennych i niepewnych. Platona więc słusznie możemy uważać jako twórcę idealnej filozofii. Kierunek ten nadzmysłowy, nadany filozofii przy zajęciu przez nią miejsca w szeregu innych umiejętności, oderwał ją od realnej wiedzy, od świata rzeczywistego i przyprowadził w ostatku niemiecką szkołę do zupełnego bankructwa umysłowego. Ze względu na pokrewność cech umysłowych, Schelling ma wiele podobieństwa do naszego mistrza. I piękne poematy tych obydwóch myślicieli roznieciły w swym czasie silną żądzę wiedzy, pragnienie doskonałości, tęsknotę za ideałem. Wpływ Platona jeszcze i dzisiaj jest silny. Uważając myślenie, jako najważniejszy środek do poznania prawdy, badał kierujące niem prawa, i pierwszy też wykład logiki u niego znajdujemy.

Podług filozoficznego zapatrywania się Platona, pierwszą przyczyną wszystkiego jest Bóg, który jest najwyższą ideą, zawierającą w sobie wszystkie inne idee i stanowiącą zupełną doskonałość, wzór i modłę wszystkiego. Bóg stworzył świat z materji i idej. Materja ma początek odwieczny, służy ona do wcielania idei i przez idee ma tylko znaczenie. Idee są to realne, ale nie materjalne istoty. Są to pierwowzory wszystkich przedmiotów na świecie. Idea z powodu swej istoty tylko pomyślaną (νοητόν) być może [1]). Stanowi ona treść, czynnik i przeznaczenie przedmiotu. Idea przedstawia tylko prawdę; materja zasłania ją, osłabia, mąci, rozbija w wielości pojedyńczych bytów. Zmysłowy przedmiot jest to tylko cień, niedokładne odbicie, obraz domniemany prawdziwego bytu. Im bardziej przemaga materja nad ideą, tem trudniej o prawdę, i odwrotnie, przewaga idei nad materją podnosi prawdziwość przedmiotu. Idee są wieczne, liczba ich niezmienna. Znajdują się względem siebie w szczeblowym stosunku. Wyższe idee zawierają w sobie niższe. Istoty te mają podobieństwo do monad Leibnitza, a do realnych istot *(Real-Wesen)* Herbarta.

(C. d. n.)

[1]) Dzieła Platona — przekład F. Kozłowskiego. Warszawa. 1845. Str. 86.

[1]) Rzeczpospolita. Ks. VI. rozdz. 18.

PANOWANIE
Jana Olbrachta i Aleksandra Jagiellończyków

(1492—1506) spisał na podstawie źródeł

Dr. Franciszek Czerny.

Kraków, w drukarni „Czasu“ nakładem autora 1871. 8vo str. 140.

Druga połowa wieku XV. jest niezawodnie jedną z chwil największej doniosłości historycznej w dziejach niemal całego świata. Ludzkość uśpiona kilkowiekową martwotą, wiejącą z jałowej średnich wieków puścizny, oczarowana nagle pięknościami świata klassycznego, z zapałem rzuca się do odgrzebywania dawno zapomnianych pamiątek, z których pełną piersią czerpiąc natchnienia, stwarza nowe ideały nie tylko w dziedzinie sztuk i umiejętności, ale także na polu swych przekonań politycznych. Wiek XV. to kolebka powszechnego odrodzenia, toż piastunka onej wprawdzie słabo jeszcze tlejącej iskierki, która jednakże już w kilkadziesiąt lat później miała ogarnąć cały świat cywilizowany pożarem rewolucji religijnej, społecznej i politycznej!

Chwila tak gwałtownego przełomu, chwila stanowczego zerwania z zasadami i prawami średniowieczczyzny nie mogła przemknąć spokojnie, bez wstrząśnień gwałtownych; owszem, mocą dziejowej konieczności musiały onemu ogólnemu przewrotowi towarzyszyć wiekopomne w dziejach zjawiska, które ludzkość na nowe popchnęły koleje.

Stosownie do charakteru ludów, tudzież formy rządów, reakcja ówczesna nie wszędzie jednakowemi objawiała się symptomami. W Polsce, nie posuwającej nigdy namiętności w podobnych razach do granic ostateczności, chwila onego przeobrażenia przemknęła na pozór spokojniej, niżeli w państwach ościennych. Lecz i tu, jeżeli bacznie śledzimy za wątkiem polityki wewnętrznej, liczne

tej reakcji napotkamy ślady tak boleśnie niestety w swych późniejszych następstwach zapisane.

Toć właśnie teraz, na schyłku XV wieku tak mało rozgłośne rządy Jana i Aleksandra Jagiellończyków położyły kres absolutyzmowi, który konieczny w ówczesnych stosunkach, tron Piastów i pierwszych Jagiellończyków na tak trwałych a hardych ugruntował podwalinach; toć właśnie teraz pod formą rządów konstytucyjnych, otworzono wrota najfałszywiej pojętemu *szlacheckiemu* liberalizmowi tem zgubniejszemu, iż stronniczem forytowaniem jedynie szlachetczyzny a ciemiężeniem mieszczan i stanu włościańskiego, dążności jego już w samym zarodzie zwichnięte zostały.

Tę — to, ze wszech miar bardzo ciekawą chwilę w dziejach naszych obrał sobie dr. Franciszek Czerny za cel badań historycznych i plon swych poszukiwań zestawił nam w dziełku wyżej nazwanem.

Nie tajno nam wcale, z jakiemi trudnościami przyszło się łamać autorowi. Niespełna 12 lat przed wstąpieniem na tron Jana Albrechta, śmierć wytrąciła pióro z ręki Długosza, naszego najsumienniejszego dziejopisa z owej epoki. Toż nad badaniem owych czasów trzeba było niejednokrotnie mozolnie szperać za rozrzuconemi dziełami obcych nawet pisarzy, czego — przyznać musimy — autor w swej pracy z wielką imał się pilnością.

Z toku opowiadania, w którem autor zupełnie pominął szczegóły, odnoszące się do ówczesnej oświaty i obyczajów, widoczna, że tenże przedsięwziął sobie spisać tylko historję ściśle pragmatyczną, polityczną. Ustawicznie dąży on do tego celu, choć może nie wszędzie przedstawił rzeczy z wyczerpującą dokładnością.

Nie szukajmy daleko przykładu. Komuż nie wiadomo, jak ważną odgrywał rolę na dworze Jana Albrechta Kalimach, on Machiavelli polski a prawa ręka króla? Autor zaiste zanadto po macoszemu obszedł się z tą wybitną postacią, która posiadając wielkie wpływy na dworze i najzupełniejszą przewagę nad królem, przez przeciąg lat kilku ster państwa w swym ręku dzierzyła. Chętnie darowalibyśmy autorowi skreślenie przeszłości tego męża, byle by nam był zechciał jego stanowisko w Polsce dokładniej naszkicować. Pobieżnem wyliczeniem słynnych rad jego dla młodego króla tym spisanych porządkiem, jak je u Wiśniewskiego znajdujemy — bez jakiegokolwiek krytycznego na nie poglądu, bez ocenienia o ile one w ówczesnych stosunkach mogły wejść w życie, a o ile tylko były *pium desiderium* daleko patrzącego włocha, nie możemy się bynajmniej zadowolić. Autor zauważywszy tylko bardzo lakonicznie, że: „słaby charakter króla nie mógł wyrównać tak trudnemu zadaniu", jakiem było przeprowadzenie reform, przez Kalimacha proponowanych, całe brzemię odpowiedzialności zwala na barki Jana Olbrachta przed trybunałem historji, nie natrąciwszy ani słówkiem, że wiele z rad Kalimachowych, wybujałych na obcym gruncie, u nas nie miało najmniejszego praktycznego zastosowania.

Przytoczmy tu tylko jedną z tych rad, — którą autor z swej strony za najgenialniejszą poczytuje — zamierzającą zmusić szlachtę do porzucenia swych posiadłości ziemskich a zamieszkania w miastach i imania się przemysłu! Kalimach podsuwając podobną radę królowi miał niezawodnie na myśli kupczących *nobili* weneckich i italskie miasta bogate, a tak pomimo najlepszych swych chęci zdradził, jak mało poznał tę butną, hulaszczą szlachtę polską, która dziś nawet po upływie czterech wieków po największej części jeszcze kieruje się śmiesznem uprzedzeniem do łokcia i wagi. I jakże mam w obec tego winić króla, że się nie chwycił z całą gwałtownoscią środka, który nie w onczas, lecz nawet dziś jeszcze prawdopodobnie rozbiłby się bez skutku? Dziwi nas też niemało, skąd autorowi w kodeksie Kalimacha tam właśnie szukać ideału (str. 30) co niezawodnie najsłabszą jego stanowi stronę!

Zresztą radzi autor czytelnikowi, ażeby każdy „sam dopowiedział sobie doniosłości" (str. 31) owego głównego kodeksu, jak gdyby nie wiedział, że ze strony historyka, zamierzającego przedstawić krytyczny rys dziejów, pominięcie milczeniem tak ważnego pytania i pozostawienie ostatecznego wyroku czytelnikowi, może jedynie doprowadzić do najfałszywszych wniosków a zamiast rzecz rozświecić, popycha ją w wir najdziwaczniejszych częstokroć domysłów!

Podobne tu i owdzie spotykane braki i niedokładności w dziełku wyżej zacytowanem, stąd zdają się prawdopodobnie wynikać, że autor zbyt wiele zajmuje się osobistościami samychże panujących i ich polityką osobistą, skutkiem czego w innem miejscu, gdy niechce przekraczać ram zakreślonych, zmuszony bywa do lakonicznej ścisłości.

Chociaż autor już w przedmowie uprzedza, że nie zamyśla bynajmiej dotykać życia domowego, wychowania, nauk i sztuk, jednem słowem oświaty ówczesnej, chociaż zatem żadnych tu żądań podobnych stawiać nie powinniśmy; nie możemy się mimo to powstrzymać, aby nie wyrazić żalu, że autor wśród tak pilnych badań, mając niejako gotów materjał pod ręką, bodaj w skromnym przypisku nie notował swych spostrzeżeń nad ówczesną cywilizacją, choćby w tym tylko celu ażeby wskazać drogę swym następcom. Całość niezawodnie by na tem nic nie była straciła, owszem, opowiadanie mnogością nagromadzonych suchych faktów miejscami monotonne, wieleby zyskało na lekkości.

Wytknąwszy te drobne usterki musimy natomiast ze szczególniejszem podnieść uznaniem dokładną znajomość ówczesnych stosunków państw ościennych i obopólnych z Polską negocjacji, co niejednokrotnie daje autorowi sposobność do bardzo trafnych spostrzeżeń, dotyczących zewnętrznej polityki królestwa.

W ogóle dziełko to zasługuje na najzupełniejsze poparcie światłej publiczności, a życzyćby sobie tylko wypadało, aby każdy z naszych młodszych historyków jął się z równą pilnością opracowania choćby jednego drobnego ogniwa, z których z czasem dałby się utworzyć łańcuch dzieł krytycznych — jedna wielka księga naszej przeszłości. *R. St.*

Kronika literacka.

W ostatnich czasach pojawiło się kilka utworów polskiej muzy poetycznej. Jan Leśniewski wydał w Krakowie zbiorek wierszy, p. n. „Próbki.“ Słusznie powiada autor w jednym wierszu:

„.....próżno szukam
„Harmonijnych, dźwięcznych tonów“

toż z lutni jego wychodzą czasem tony tak nieharmonijnie dźwięczące, jak zgrzyt żelaza po szkle. Czytamy tam n. p.:

„Wiemy wszyscy, jakiemi dobranemi słowy
„Ty o miłości i litości perorujesz“

Ani rytmu, ani jakiej takiej w tem poetycznej formy. Albo:

„Pożądanem ciepłem
„Ziemię wiatr ochuchał.“

co przypomina ową śpiewkę w jednej z komedyjek Fredry syna: „Pótym chuchał, chuchał, chuchał...“ i t. d. Już to nad formą autor sobie nie zadaje pracy. Jak można było n. p. pozostawić wiersz tak twardo, tak chrypliwie brzmiący:

„Podziwiamy, jak mknie po krysztale tak szybko.“

A i myśl nieraz tak osłoniona wyrazami bez treści, że ośmielamy się wątpić, czy autor sam ją rozumiał. Bo cóż naprzykład może znaczyć:

„Czem — li, pogardą nad waszą mogiłą
„Częścią — li brzęknie pieśniarz młody?“

Autor lubi bardzo walczyć humorem, ironią — lecz broni tej nadużywa i dla tego zawodzi go nieraz, a humor jego bywa czasem bardzo niezgrabny, jak n. p. w zwrotce:

„Pierwszej miłości nigdy się nie zapomina!
„Miałem i ja anioła — dał mi się we znaki,
„Bo prawdę mówiąc był to anioł ladajaki,
„Zarozumiała, próżna, swawolna dziewczyna.“

Ten „ladajaki anioł“ ma być niby bardzo humorystyczny, a jest tylko bardzo — niesmaczny. A przecież mimo tylu wad, których nie wyczerpaliśmy jeszcze w tem krótkiem sprawozdaniu, nie możemy odsądzić autora od talentu. Chwilami i formę bardzo szczęśliwą znachodzi n. p. w niektórych pięknych przekładach z hiszpańskiego, i bywa prawdziwie poetycznym, gdy nie zamrozi uczucia jakąś wyszukaną nienaturalną bo naśladowaną ironią. Przytoczywszy kilka ustępów bardzo słabych, pozwolimy sobie jeszcze przytoczyć ustęp dowodzący, iż w p. L. prawdziwy jest talent, który jednak wielkiego jeszcze wymaga wyrobienia. Oto początek pięknego wiersza „Emigracja“:

„Jak biedna Peri, co u bramy raju
„Z rozdartem sercem, żebrząc wejścia, stała,
„Nasz smutny orszak wypędzony z kraju
„Nieukojoną dziś boleścią pała.
„Oczami duszy oglądamy wszyscy
„Niezwiędłe ziemi ukochanej wdzięki,
„Niby świadkowie, najbardziej ich blizcy,
„Niby na jawie bierzem je do ręki.
„Lecz obca mowa z omamienia budzi,
„Myśmy wygnańcy! a tych słów truciznę
„Nie zdoła zniszczyć miłość obcych ludzi,
„Którzy u siebie dają nam ojczyznę.“

Powiemy więc autorowi: niech pracuje, niech talent swój wyrabia, niech szuka form lepszych, a ma ich podostatkiem i tylko zaniedbaniem wielkiem dadzą się wytłumaczyć tak częste a rażące usterki przeciw formie — niech uczucia prawdziwego wyszukaną ironią nie zamraża — a przedewszystkiem niech wydając zbiorek swych poezji, ostrożnie plewę od ziarna oddzieli.

O wiele więcej prawdziwej poezji znaleźliśmy w zbiorku wierszy Mirosława Dobrzańskiego „Wstępne akordy.“ (Warszawa 1871.) Forma tam już bardziej wyrobiona, rażących usterek przeciw niej bardzo nie wiele, a obfity przytem zapas obrazów poetycznych i młodzieńczego zapału. Pierś, z której te niedoskonałe jeszcze, a przecież przejmujące tony się dobyły, wiele czuć musi i kochać — a uczucie to obejmuje nie jednostkę w czem się tak poeci lubują — lecz ideę, ludzkość, przyszłość całą. Przytoczymy dwie zwrotki pięknego wiersza p. n. „Prorocy“:

„Zamilkł. Cienie nocy słowa te rozkradły,
Zwiały na pastwę, i powstał śmiech dziki,
Szydercze z dołu wionęły okrzyki,
Na które gwiazdy zdziwione pobladły;
I głos: „szalony! szalony“ uderzył
O jego stopy. Ten jeszcze stał hardy,
Z wzrokiem rozpaczy, boleści, pogardy.
Nagle drgnął cały — już nie żył.
„Lecz nim spadł w przepaść, gdzie ślad wyżłobiony
Został, po chwili milczący i dumny
Do marmurowej podobny kolumny
Stał drugi szermierz, stał drugi szalony.
I takich krocie, za bożym wyrokiem.
Co jeden konał, wnet wyrastał nowy,
W otchłaniach czasu milknął krzyk grobowy,
Szalony wstawał prorokiem.“

Warago-Russy, w pięciu pieśniach historycznych przez J. W. (Stanisławów 1871). Autor w pierwszej pieśni poczyna od samych zaczątków Słowian i powstania Polski, przechodzi w 2giej do Warago-Russów i ich historji, w 3ciej kreśli zbrodnie Katarzyny, w 4tej „niezabuwiennaho“ Mikołaja, Konstantego i powstanie z r. 1831, w 5tej rok 1863 — w epilogu wreszcie widzi we śnie sąd na carów. Gorąca miłość ojczyzny a nienawiść wrogów natchnęły autora, który zapewne nie ma pretensji do nazwy znakomitego poety, ale pod wpływem prawdziwego uczucia wznosi się chwilami w wyższe sfery poezji. Ztąd w poemacie tym miejsca wcale piękne, obok wielu bardzo słabych. Dla czytelni zakładanych po miastach książeczka ta bardzo się nadaje.

Energicznie a ostro napisaną brosurkę wydał dr. Juljusz Roth p. n. „Das Jesuitenthum“ (Lipsk 1871.) Zawiera ona obraz organizacji jezuityzmu, ich sposobów działania, moralności i t. p. Zalecamy ją Unji do polemiki.

Juljusz Schwarz, jeden z najznakomitszych węgierskich publicystów, wydał drugi zeszyt wybornej broszury: „Ungarn in der Realunion“ (Peszt 1871) Rzecz skierowana przeciw stronnictwu rządzącemu dziś we Węgrzech.

Lista zgłaszających się u nas do przedpłaty na Bibliotekę pedagogiczną i dydaktyczną p. Stanisława Sobieskiego:

Krakowska filja Stowarzyszenia Przyjaciół oświaty ludowej 1 egzemplarz; Mieczysław Dzieduszycki w Krakowie 1 egzemplarz; Mieczysław Pawlikowski w Krakowie 1 egzemp.; Tadeusz Romanowicz we Lwowie 1 egzemp.

Redakcja „Gazety Literackiej“ w myśl odezwy zamieszczonej w nr. 5tym naszego pisma, najchętniej przyjmować będzie wszelkie dalsze deklaracje.

Inseraty.

G. SCHAPIRA

malarz szyldów, herbów i innych napisów

we Lwowie, ulica Szeroka l. 8²/₄,

poleca swoją pracownię wszelkich napisów

na szkle, drzewie, płótnie, kamieniu i innych kruszcach i w barwach różnych, srebrnych i złotych, jako też litografowane szyldy, tak zwane: druk blachowy (Blechdruk). Również wykonuje odlewy kruszcowe, jako to: napisy wypukłe dla urzędów, kolei żelaznych, biur assekuracyjnych, handlów, kantorów i domów publicznych, napisy ulic, Numera domów i drzwi i t. p.

Przyjmuje także

lakierowanie, bronzowanie i pozłacanie

budynków, monumentów i nagrobków.

Farby olejne i lakiery do domowego użytku są do nabycia

po cenach jak najtańszych.

Następnie przyjmuje i wykonuje wszelkiego rodzaju 101-1

pieczątki i stampiglie

(z herbami i napisami)

do druków kolorowych i wypukłych albo do odcisków na laku.

Również wykonuje wzorki do odcisków na ręcznych robotach damskich, jakoteż pieczątki do odciskania liter lub monogramów na bieliznie —

wszystko po najumiarkowańszych cenach.

Ces. król. uprzyw. galicyjski

zakład kredyt. włościański

wydaje we LWOWIE i przez swoje biura zaliczkowe po powiatach w kraju

Asygnacje kasowe

5 procentowe z 10 dniowym terminem wypowiedzenia i
6 „ z 30 „ „

Również nabyć można w zakładzie i w biurach zaliczkowych

Listy zastawne zakładu kredytowego włościańskiego

w sztukach po **100, 500 i 1000** złr. wal. austr.,
które przynoszą prócz stałych **6%** także i **dywidendę** i wylosowane będą w przeciągu **lat pietnastu.**

Wszelkie zanieczyszczenia krwi leczy radykalnie

Dr. KARCZ.

Ordynuje od 8—9 przed i od 2—4 po południu
pod l. 177 w rynku.

Poradnik w tych słabościach jest w każdej księgarni do nabycia.

Zwraca się uwagę na wiosenną i letnią porę, jako najkorzystniejsze do wyleczenia nawet zastarzałych wypadków.

Także i listownie pod dyskrecją.

Wydawca i Redaktor: Jan Śliwiński. Druk K. Pillera.